



MIROŚLAW M. BUJKO (ur. 1951) – doktor nauk humanistycznych, muzykolog, dziennikarz i publicysta. Wykłada w warszawskich szkołach wyższych. Od lat praktykuje *iaido* – tradycyjną sztukę japońskiego miecza. Debiutował w 2003 roku *Księgą uczynków*. Opublikował trylogię sensacyjną, którą tworzą książki: *Złoty pociąg* (W.A.B. 2006), *Czerwony byk* (W.A.B. 2007) oraz *Wyspy Szerszenia* (W.A.B. 2008). Jego powieści były tłumaczone na niemiecki i portugalski.

PROF. WALDEMAR J. DZIAK (ur. 1952) – politolog, dziennikarz, wykładowca akademicki, dyrektor Centrum Studiów Wschodnich w ISP PAN. Pod pseudonimem Waldemar Ogiński prowadził audycję w radiu TOK FM oraz programy publicystyczne w telewizji TV Plus i Superstacji. Jest autorem kilkunastu książek poświęconych historii najnowszej krajów bałkańskich oraz Dalekiego Wschodu, w tym biografii Kim Ir Sena, Kim Jong Ila oraz Mao Zedonga. Gdy w 2004 roku ukazała się biografia Kim Jong Ila, na specjalny rozkaz została przetłumaczona na koreański i wydana w jednym egzemplarzu dla północnokoreańskiego przywódcy, który dożywotnio zabronił autorowi wstępu na teren swojego kraju.

MIROŚLAW M. BUJKO WALDEMAR J. DZIAK

PAJĄK Z GÓRY KATSURAGI





MIROŚŁAW M. BUJKO WALDEMAR J. DZIAK

PAJĄK Z GÓRY KATSURAGI

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

*Nie znam sposobu pokonywania innych,
wiem za to, jak pokonać siebie.*

Mistrz Yagyu

Plaża na Cuszimie, kilka kilometrów
na północ od portu w Izuharze.
Koniec sierpnia 1998

– Naprawdę. Dobrze, że cię tam nie było. Po co miałbym ci wciskać taki kit? – Mocował się z opornym trampkiem, skacząc na jednej nodze, aż w końcu stracił równowagę i opadł siedzeniem na mokry piasek. Po kilkugodzinnym marszu w upale przepocona skarpeta zrolowała się i but za nic nie chciał się zsunąć ze stopy. Dziewczyna nie miała takich problemów. Być może dlatego, że była bardzo szczupła, upał nie dawał się jej we znaki. Nie pociła się i wyglądała świeżo. Nie miała też na nogach sportowego obuwia i skarpetek. Wystarczyły jej lekkie plastikowe sandały, w których równie dobrze można wejść do wody i które świetnie chronią stopy przed ostrymi krawędziami koralowca. Zazdrościł jej tej świeżości i wdzięku, z jakim nosiła płócienne szorty ledwie zakrywające smagłe, jeszcze dziewczęce pośladki, i tego, że mimo swych ledwie piętnastu lat potrafiła tak dojrzałe ignorować jego ból i manifestowaną pretensję. Postukała czubkami sandałków i otrzepała stopy z wysychającego piasku. Sięgając za siebie, ściągnęła bez wysiłku marynarską koszulkę, a on tłumiąc szalone bicie serca, zerkał zemocjonowany na jej chłopiące, płaskie piersi pod pretensjonalnym stanikiem, na którego drukowanym materiale pyszniły się żółte kwiaty chryzantemy.

Gdy wstała i zdjęła szorty, zorientował się, że majteczki, choć niewątpliwie kąpielowe, należą do innego kostiumu, miały bowiem inny wzór.

Ayi zupełnie to nie przeszkadzało. Strój, konwenanse i wygląd nie miały dla niej – odkąd ją znał – najmniejszego znaczenia. Położyła szorty na małym brezentowym chlebaku. Wiedział, że są w nim okulary słoneczne, których nigdy nie zakładała, książka i mała butelka wody mineralnej. Wciąż ta sama z nie-naruszonym zamknięciem, bo Aya piła tylko w domu, nawet wtedy, gdy upał stawał się nieznośny. Chciała ruszyć w kierunku morza, ale ją zatrzymał.

– To jest naprawdę możliwe. Naprawdę – powtórzył z naciskiem. – Czułem zapach...

– Jaki znowu zapach? – zainteresowała się szczerze, ale nie zdobył się na to, by spojrzeć jej w oczy.

– Popuścił w gacie... ze strachu... żebym tak skończył – powiedział, patrząc w bok. Nie musiał zmyślać, bo tak właśnie się stało. Tego dnia Yoshitaka istotnie nie wytrzymał napięcia i skoczył dopiero wtedy, gdy instruktor znacząco położył mu dłoń na ramieniu. Nie tyle nawet położył, co delikatnie zepchnął nią spoconego z przerażenia chłopca z pomostu wieży spadochronowej. – A tam na dole, jak lądował, to na pewno...

– Na pewno co? – zaciekała się, skręcając sztywne włosy o granatowym połysku w węzeł, który zmieściłby się pod kąpielowym czepek z lateksu. Ramiona miała szczupłe i smagłe, a poruszające się pod skórą drobne, wytrenowane mięśnie pełzyły w kierunku niezbyt dokładnie ogolonej pachy, niczym myszy zamknięte w płóciennym worku.

– Dokończył...

– Jesteś obrzydliwy. – Aya upchnęła wreszcie włosy pod czepek i uważnie spojrzała na niego niezwykle szarymi oczami.

– Nawet gdyby rzeczywiście mu się to przytrafiło, to przecież nic dziwnego. Ta wasza wieża ma ze dwadzieścia metrów...

– Dwadzieścia pięć! – skorygował.

– Ty nigdy się nie bałeś? – Perłowszare oczy o bardzo białych, przeraźliwie białych gałkach, na których widać było tylko kilka delikatnych, ledwo zauważalnych bladokrwistych żyłek, wpatrywały się w niego spod kąpielowego czepka tak, że wydawało mu się, iż Aya zagłęda mu do środka mózgu. Jak można mieć takie dziwne oczy?

Chciał powiedzieć, że nigdy, ale się zreflektował.

– Umiem odsunąć od siebie strach, a nawet trochę mnie on podnieca. Po prostu się nie zastanawiam. Spróbuj kiedyś. To tak, jakbyś chciała sama sobie dać mocnego klapsa. Na przykład w udo... – zademonstrował, prężąc dłoń. – Tak z całej siły. Najpierw boisz się bólu, a potem, jak się zdecydujesz uderzyć, to w ogóle o tym nie myślisz. Później piecze... ale jest przyjemnie... – Nie musiał kończyć, bo usiadła znów na piasku i tak jak to pokazał, z całej siły trzepnęła się płaską dłonią w udo. Natychmiast pojawił się tam czerwony, nieładny placek. – Widzisz! – zatriumfował, kiedy nawet się nie skrzywiła. – To naprawdę może być przyjemne.

– Masochista... Jesteś zboczony. – Uśmiechnęła się z politowaniem, ale zaraz w jej szarym spojrzeniu pojawił się cieplejszy odcień. – Nie musisz mi go tak obrzydzać. Yoshitaka znaczy dla mnie tyle co ten żuczek. – Czubkiem plastikowego sandałka pokazała w stronę plażowego pancernego wojownika, rażno pokonującego stromizny naniesionego przez ciepły wiatr piasku. – Dobrze tańczy. I tyle. A ty zaraz musisz być zazdrosny. Zatańczyłam z nim raptem dwa razy. Nawet mnie nie pocałował...

– Nie całowaliście się? – ucieszył się, choć w jego spojrzeniu odbiło się niedowierzanie.

– Nie. Nie i nie. Głupku. Jeśli chcesz wiedzieć, to pierwszym chłopakiem, któremu dam się pocałować i w ogóle, będziesz ty. Mimo że jesteś moim bratem i jesteś taki rozczulająco głupi. Ale kocham cię i nie musisz być o nikogo zazdrosny. Zrozumiałeś?

Zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco i czuł, że się rumieni. W pierwszym odruchu szczeniackiego szczęścia najchętniej fiksałby kozła, ale to, co w jego naturze osiągnęło już pewną dojrzałość, kazało mu przyjąć deklaracje dziewczyny dostojnie, z miną przełożonego świątyni shinto odbierającego noworoczne życzenia od akolitów. W rzeczywistości i na szczęście był jej przyrodnim bratem. Dziesięć lat temu pani Ueto, matka Ayi, zgodziła się poślubić jego walniętego starego, czyli powszechnie szanowanego pana Ishigaki – wysokiego urzędnika Ministerstwa Obrony. Kazała się długo prosić. I nic dziwnego. Była wtedy i pozostała piękną kobietą. Prawie tak piękną jak Aya. I pochodziła z bardzo dobrej rodziny. A szanowny pan Ishigaki, czyli jego walnięty, kochany staruszek, mógł jej zaoferować jedynie dostojność i wcale niemałe apanaże swego stanowiska oraz dość podejrzaną, najprawdopodobniej chłopską genealogię. Ale dobrze się stało, że w końcu uległa jego elokwencji i pieniądzom. W przeciwieństwie do swej uroczej mamusi, która była najbardziej wyrozumiałą i przyjacielsko nastawioną macochą świata, Aya przez dobre kilka lat wspólnego dorastania traktowała równolatka Yumę zimno i pogardliwie. Zmieniło się to dopiero rok temu. Raptem przestała manifestować swoją wyższość, a jej chłód zaczął tajać jak marcowy śnieg na wyżynach Hokkaido. Okazywała przyrodniemu bratu serdeczność i ciepło. Odczuwał to na każdym kroku i dopiero teraz uświadomił sobie, jak wiele ich dzieli. We wszystkich swoich działaniach Aya objawiła mu się nagle jako osoba zupełnie dorosła... przeraźliwie dorosła i dojrzała wobec jego wciąż szczeniackich, smarkatych

zagrań. Takich jak obecne. Ale przecież ten przylizany, irytująco przystojny głupek Yoshitaka naprawdę popuścił w gacie przed skokiem. No, ale jeśli się nie całowali, można mu wybaczyć, że tańczył z Ayą (szło mu to, trzeba przyznać, całkiem niezłe).

– Naprawdę mnie kochasz? Aya... – Było mu gorąco i gdzieś w tyle głowy, a może w uszach, czuł coraz silniejsze łomotanie pulsu.

– Jesteś przecież moim braciszkiem. Jak mogłabym cię nie kochać? – przeciągnęła ostatnie sylaby, a Yuma nie wyczuł kpiny. Przynął się do niej po piasku i zamknął jej drobne przeguby w swoich ciepłych, niecierpliwych dłoniach.

– To znaczy... – Jakby się bał, że spłoszy jej ulotną łaskawość dla jego szczeniństwa, nie zdobył się na to, by podnieść wzrok. Wydawało mu się to nadmiernym zuchwalstwem. Mimo że potrafił być hałaśliwy i wulgarny, był z natury delikatny i nieśmiały.

– To nic nie znaczy – ucięła. – Ale... Jeśli ci bardzo zależy, możesz mnie pocałować.

Sądził, że (tak jak to widział na amerykańskich filmach) zamknie oczy. Aya jednak najwidoczniej chciała widzieć, jak się do tego zabiera. Bał się, ale to, co było w nim pomysłem, świeżością, ciekawością życia, odpowiedziało mu, co ma robić. Bo Yuma jeszcze nigdy nie całował się z dziewczyną.

Obserwowała go z matczyną, jak mu się zdawało, czułością, gdy złożywszy spierzchnięte od wiatru i słońca wargi, zbliżał twarz do jej twarzy. Życzliwie wyszła mu naprzeciw, by nie czuł się śmieszny i osamotniony w swoich próbach. Jej wargi nie były ani tak suche, ani tak sterylne jak jej ciało. Były ciepłe i pełne. Chłopiec myślał, że (znów jak na amerykańskich filmach) kochankowie łączą się wargami i tak trwają. Tymczasem, ku jego zaskoczeniu, język Ayi zapytał o przyzwolenie i Yuma posłusznie rozchylił splekane, słone wargi. To było definitywne

zakończeniu sztubackiego, pełnego przepychanek okresu ich siostró-braterstwa, bo język Ayi pachniał tajemnicą i podnieceniem, które on, chłystek i niedoświadczeniec, doskonale odbierał swoim stremowanym i nieruchawym.

– O, Amaterasu! – sapnęła z irytacją, wyczuwając jego trewę i to, jak twarde stają się jego barki pod nakryciem jej delikatnych dłoni. – Rozluźnij się – powiedziała, ledwo odsuwając wargi. – Jak będziesz taki spięty, nigdy się dobrze nie pocałujemy... Tak lepiej – wymruczała usatysfakcjonowana, czując, że Yuma się stara.

Chłonał tę chwilę całym sobą, wszystkimi swoimi marzeniami i oczekiwaniami, i miał wrażenie, że dzieje się z nim coś absolutnie niesamowitego. Ogarnęła go euforia. Był tak podniecony, że wydawało się, że cienki elastil jego kąpielowych majteczek trzaśnie lada moment. Niczym wyczulony na wybuchające zarzewie ognia strażak, Aya zareagowała bezbłędnie, gasząc jego pożądanie nie tyle doświadczoną, co przewidującą dłonią.

– Ciii... malutki... spokojnie – szeptała, a Yumie wydawało się, że to syczy złośliwa, jadowita żmijka. Gdy wyczuła, że jest tak podniecony, że mimo nieśmiałości gotów jest zabrać się do dzieła, odsunęła go delikatnie, ale stanowczo. Raptem zawisł śmiesznie w pustej przestrzeni pomiędzy nimi, z wyciągniętymi w stronę jej płaskich piersi dłońmi i wargami złożonymi w ciup. Aya poprawiła ramiączka biustonosza.

– Tyle ma ci wystarczyć... – powiedziała jakby z pretensją, po czym uzupełniła nieco łaskawiej – na początek. Żebyś mnie nie męczył jakimś Yoshitaką. Możesz uważać, że jesteś pierwszym chłopakiem, z którym się całowałam.

Chociaż Yumie brakowało doświadczenia, czuł, że to nieprawda. Naczytał się pornograficznych mang i wiedział, że dziewczyna, która jeszcze nigdy nie całowała się z chłopakiem, nie sięgnie instynktownie do jego spodenek. Przynajmniej tak

twierdzili autorzy tych pięknie rysowanych i zgrabnie opowiedzianych historyjek. Na początku musi być ktoś (najlepiej starszy), kto pokaże takiej podfruwajce, jak to się robi. Czyli, że... Aya już z kimś te rzeczy ćwiczyła! Przeprowadziwszy to proste rozumowanie, Yuma – znów nad podziw dojrzałe i po męsku – postanowił nie mieć pretensji i w ogóle nie dać po sobie niczego poznać. Dlaczego wciąż ma się zachowywać jak głupek? Trzeba spróbować innej taktyki. Usiłował wymyślić jakieś stosowne odezwanie, ale nic nie przychodziło mu do głowy, toteż milcząc wymownie, skrzyżował stopy i siadł na piasku.

Po dłuższej chwili wypełnionej ciężkim milczeniem okazało się, że taktyka, jaką obrał, była najlepsza z możliwych, bo Aya zerknęła na niego kilka razy, zdziwiona jego mroczną powagą, jakby żałując swego zachowania. Może i była znacznie dojrzałsza i bardziej wyrafinowana od niego, ale nie umiała zbyt długo utrzymać się w przyjętej roli.

– Nie gniewaj się, Yuma... – Usiadła obok chłopca, oparła mu głowę na ramieniu i objęła go serdecznie w pasie. – Wcale nie chciałam tego powiedzieć... Jestem głupia...

Starając się zajrzeć mu w oczy, czekała ułaskawienia, lecz wytrzymał mężnie i to, wpatrując się chmurnie w dal. Determinacja została nagrodzona. Aya przytuliła się do niego i gdy uległ wreszcie i pozwolił jej dłoniom obrócić swoją naburmuszoną buzię, całowali się dłuższą chwilę bez tchu, a on bez oporu z jej strony mógł dotykać piersi. Gdyby miał dziesięć lat więcej i nieco mniej mgliste wyobrażenia o seksie, zostałby jej pierwszym mężczyzną. Ale był tylko piętnastoletnim szczeniakiem bez najmniejszego pojęcia o tym, jak się dalej zachować. Jego bezradność Aya przyjęła z pewną ulgą, bo to, co się między nimi działo, traktowała bardziej jak przyjemną zabawę niż wyraz uczucia i nie była gotowa na zbliżenie. Nie podnosząc opuszczonych do łokci ramiączek stanika i udając, że nie

czuje, że drobne twarde sutki sterczą ponad rąbkiem kostiumu, powiedziała:

– Nie sądzisz, że przyjaźń jest ważniejsza niż... no wiesz?

– Oczywiście – przytaknął gorliwie, odsuwając się na chwilę i wspierając na łokciach, w obawie, że jeśli się z tym nie zgodzi, Aya nie pozwoli mu na dalsze poufałości. Nagle poczuł, że ciśnie go pęcherz. Działo się tak zapewne dlatego, że w drodze pił puszkami ulubiony zimny drink z miąższu aloesu, który zabawnie ślizgał się po języku i zębach. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że nawet tu, na tej zapowietrzonyj wyspie, przy najgorszej drodze, którą samochód przejeżdżał raz na kilka godzin, poustawiano automaty z chłodzonymi w lecie, a podgrzewanymi w zimie napojami. Czy to się w ogóle komuś opłacało? I kiedy uzupełniano zapasy? Długą i męczącą drogę z miasta na plażę przemierzili już wielokrotnie, lecz ani razu nie widzieli samochodu dostawczego. Prawdę mówiąc, nie napotkali nic i nikogo. Nielicznych mieszkańców wyspy najwidoczniej nie interesowały wyprawy na plażę. Parcie przepelnionego pęcherza wzmagalo się, ale Yuma uznał, że nie będzie sobie psuł emocjonujących chwil. Gdyby miał dwadzieścia lat więcej, wiedzieliby, że w takich sytuacjach nie ma niczego lepszego niż antrakt. Zostawiona sama sobie na kilka minut, podekscytowana już tym, co się zdarzyło, i własną odwagą dziewczyna ma wtedy czas, by podjąć ostateczną decyzję. Potrzeba wysikania się była tak dojmująca, że Yuma podniósł się z wysiłkiem i czerwony na twarzy, wstydząc się tego, czego nie należy się wstydzić, oznajmił półgębkiem:

– Ja na chwilę...

Aya także wsparła się na łokciach i na w pół leżąc, na w pół siedząc, rzuciła mu ironiczne spojrzenie spod rzęs. Najwidoczniej wiedziała albo wyczuwała więcej, niż mógł podejrzewać.

– Nawet na dwie – powiedziała i wciąż nie zrobiła nic, by schować piersi pod stanik.

Wspinał się mozolnie w górę wydmy. Piasek osuwał się i Yuma myślał już tylko o tym, żeby się nie obejrzeć. Niech sobie nie myśli smarkula, że mi na niej aż tak zależy. I może by się nie obejrzał, ale luźny piach osunął się spod stopy tak gwałtownie, że musiał – żeby nie upaść – podeprzeć się dłonią. Wykorzystał to, by dyskretnie zerknąć za siebie w dół. Na szczęście Aya, w niezmienionej pozycji, obserwowała zatokę i jak mu się zdawało (choć z odległości nie widział dokładnie), strzepywała piasek z obnażonego brzucha. Z uczuciem do złudzenia przypominającym to, jakie mamy, zamykając za sobą drzwi toalety, przewalił się przez grzbiet wydmy i zaczął się zsuwać po bardzo stromym stoku w stronę gąszczu krzewów.

Z powrotem pokonywał stromiznę bez wysiłku, z lekkim sercem, tak jakby na dole udało mu się wylać z duszy wszelkie kłopoty, lęki i trudne myśli, z którymi nie chciało mu się pasować. Pomyślał, że dobrze wypadnie, jeśli jak gdyby nigdy nic wróci i położy się koło Ayi, nie patrząc na jej (oby) wciąż odsłonięte piersi i nie czyniąc żadnych, najdrobniejszych nawet aluzji do tego, co już się między nimi wydarzyło. Niech inicjatywa wyjdzie od niej, a wtedy on leniwie przystanie na jej propozycje. To będzie bardzo męskie i jeśli wszystko dobrze pójdzie i uda mu się zachować spokój i niczego nie zepsuć, może już dziś...

Stanął na grzbiecie wydmy i w osłupieniu popatrzył na plażę. Była pusta, puściuteńka. Jedynie śmieszny ptaszek na nieproporcjonalnie długich i cieniutkich nóżkach brodził tuż przy brzegu w poszukiwaniu pożywienia. Nie było także rzeczy Ayi – torby i sandałów. Został tylko jego ręcznik, plecak i sfatygowane trampki. Schowała się. Też mi dowcip! Godny jakiejś gówniary, którą przecież nie była. Nigdy nie robiła takich prostackich numerów. Może poszła się kąpać i utonęła? Ale jak? Z ręcznikiem i z torbą? Absurd. Zresztą pływała bardzo dobrze. Była mistrzynią szkoły w kraulu. Absurd.

– Aaaaaayyyyyyaaaa! – rozdarł się ochryple, a brodzący ptak oderwał się na chwilę od swoich zajęć, popatrzył i z przyganą pokręcił głową osadzoną na równie niedorzecznie cienkiej co nogi szyjce.

No dobrze – pomyślał Yuma. – Nawet jeśli zrobiła taki dziecinny numer i się schowała, to jak, u licha! I kiedy? – Rozejrzał się dla pewności, ale na przestrzeni wielu dziesiątków metrów niczego osobliwego nie spostrzegł, a wzrok, co zgodnie podkreślali instruktorzy, miał wyjątkowo dobry. – Jasne! – wydedukował. – Kiedy poszedł się wysikać, Aya wbiegła na wydmę w innym miejscu i teraz pewnie siedzi gdzieś za krzakiem i śmieje się w kułak. Ach, więc to tak. Kochana spryciara. Postanowiła pójść na całość, ale boi się, że na plaży ktoś nas nakryje! Dlatego nie ma ręcznika i rzeczy. Jasne. Woli, żeby to się odbyło w zaroślach za wydumą. Teraz pewnie jest już goła i złości się, że jest taki tępy i nie potrafi się domyślić najprostszych rzeczy.

Piorunem pozbierał swoje manatki i ruszył pod górę w takim tempie, jakby od tego miało zależeć jego życie.

Wrócił na pustą plażę po kilkunastu minutach poszukiwań i nawoływania i zmęczony siadł bezradnie w miejscu, gdzie przed godziną rozłożyli ręczniki. Bezmyślnie rozglądał się wkoło, a potem otarł z czoła gęsty, dziwnie chłodny mimo skwaru pot i zaczął się przypatrywać śladom odcisniętym wyraźnie w lekko wilgotnym piasku.

Najbardziej czywiste były te podwójne, prowadzące od stałowych schodów. Tędy przyszli nad brzeg. Równie zrozumiałe były głębokie ślady stóp na wydmie. To tędy wbiegał na nią i zbiegał. Rozpoznawał też ślady stóp i kolan Ayi i jego stóp i kolan wokół płaskich odcisków ręczników z piaskowymi negatywami ich ciał. Tu się krzątali, rozkładając ręczniki. Dlatego śladów jest tak dużo i są tak splątane. A niech to! Yuma zerwał się i skrupulatnie obszedł teren, stopniowo poszerzając krąg i bacznie obserwując

ziemię. Jeśli Aya dokądś poszła albo jeśli nawet ktoś ją porwał, to gdzie się u licha podziały ślady jej albo porywacza?! Chyba że był to bajkowy ptak Rok albo jakaś pieprzona latająca poczwara z filmów o Godzilli! A to? Yuma zrobił kilka nerwowych kroków w stronę morza, z niedowierzaniem wpatrując się w dziwnie regularne smugi. Wyglądały tak, jakby ktoś tu grabił. A więc... – zastanawiał się gorączkowo. – Wyleźli z wody. Porwali Ayę i zagrabili ślady? Absurd. Te smugi są zupełnie takie same jak po składanych drucianych grabiach, którymi ogrodnik ojca zagarniał jesienne liście. Musiały tu być już wcześniej, tylko nie zwrócił na nie uwagi. Plażę się przecież sprząta. Tak jak wszystkie publiczne miejsca. Jasne, tyle że innych śladów tłumaczących zniknięcie siostry nie ma. Założył okulary do pływania i wbiegł do ciepłej wody. Przez kilka minut pływał w przejrzystej wodzie o głębokości półtora metra aż do miejsca, w którym usłane koralowcami dno opadało gwałtownie w mroczną, zieloną, budzącą lekki strach głębię, ale niczego szczególnego nie wypatrzył. Wrócił na brzeg i chwilę grzebał w plecaku, szukając komórki. Ale przecież tu i tak nie ma zasięgu. Trzeba jak najszybciej dotrzeć do jakiegoś telefonu i zawiadomić policję, a jeszcze lepiej najpierw ojca, a potem policję. Już on potrafi pogonić ich do roboty. Chwycił trampki za sznurowadła i zarzucił plecak na ramię. Nim ruszył w stronę schodów, jeszcze raz spojrzął na morze. Równe jak spod sznurka drobne falki załamywały się niefrasobliwie na przybrzeżnej płyciźnie, a ptaszek wyjął nogę z wody i podkuliwszy ją pod siebie, dzielnie wytrzymał wzrok chłopca, jakby chciał powiedzieć:

- Odczep się wreszcie. Niczego nie widziałem.
- Akurat! Nie widziałeś! – wrzasnął z wyrzutem Yuma i pobiegł w kierunku schodów.

Tajny Wojskowy Ośrodek Badawczo-Rozwojowy 25 kilometrów na północ od Yongbyon, Korea Północna. Kilka dni później

Rzęsisty deszcz przestał padać i zrobiło się całkiem ładnie, choć jak na początek września było chłodno, a porywisty wiatr pędził po niebie niskie ciemne chmury. Spoza nich prześwitywało jednak momentami oślepiające słońce, zapalając miliony refleksów w kałużach na betonie starego, dawno nieużywanego pasa startowego. Któż by się domyślił, że na jego końcu, tam, gdzie zaczynają się zarośla i drzewa, jest wejście do bazy? Nawet gdyby ktoś chciał sprawdzić, co jest za wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, ciekawość szybko wybiłyby mu z głowy liczne patrole z psami. Wystarczyło jednak przejechać kilkaset metrów wzdłuż ogrodzenia, by trafić na zachęcająco uchyloną bramę, zbitą byle jak z nieheblowanej tarcicy, skrócić znów w prawo i jechać także przy ogrodzeniu ciągnącym się linią łagodnego stoku zielonego wzgórza. Na końcu utworzonego przez dwa ogrodzenia korytarza, którym jechało się niczym błotnistą ulicą (bo nie było tu betonu, tylko piasek i żwir), była następna brama, ale już nie tak gościnnie zapraszająca do środka.

Pułkownik Gim Ilson zwolnił w sporej odległości od niewielkiego baraku, przed którego frontem umieszczono zabezpieczone workami z piaskiem stanowisko cekaemu, i zawczasu wystawił przez burtę sfatygowanego gaza dłoni z dokumentami w plasti-

kowej ramce. Jeden z wartowników niespiesznie odsunął kałasznikowa na plecy i wziął dokumenty. Studiował je przez dłuższą chwilę, a potem bez słowa obrócił się na pięcie i pomaszerował do baraku. Jego koledzy z kamiennym wyrazem twarzy wycelowali w Ilsona kałasznikowy, szcękając przełącznikami bezpieczników. Być może wiele lat temu zrobiliby to na nim wrażenie. Teraz nawet się nie pofatygował, by spojrzeć w ich młode, pewne siebie oczy pod okapami ciężkich hełmów, tylko patrzył beznamiętnie w przestrzeń, myśląc o swoich sprawach i oddychając powoli świeżym, pachnącym po deszczu powietrzem. Widzą go przecież pierwszy raz i aroganckie zachowanie to nie ich wina. Zresztą dlaczego aroganckie? Chłopcy są w porządku. Najwidoczniej dostali niezłe wciry w czasie szkolenia, a są za młodzi, by przesiąknąć odorem służalstwa. „Odór służalstwa” – powtórzył w myślach Ilson. Dobre określenie. Dużo lepiej oddające prawdę niż te banialuki wymyślane przez pożałowania godnych specjalistów prasowych z KCNA¹. Choćby ostatnie komunikaty! Jakież brednie o artystach odnoszących spektakularne sukcesy w komponowaniu rewolucyjnej muzyki albo dumny komunikat o nowej fabryce zdolnej przetworzyć kilka tysięcy ton słodkich ziemniaków rocznie. Wielkie osiągnięcie! Wystarczyłoby wysypać te ziemniaki na ulicę, a głodni ludzie przetworzyliby je w pięć minut. Śladu by po nich nie zostało. Ukoronowaniem najświeższych doniesień była piramidalna bzdura o genialnym wynalazku naukowców – „fermentacyjnym napoju opalającym”.

Komunistyczna kartoflana coca-cola, która działa jak krem samoopalający – drwił w myślach pułkownik. – Ludzie i tak ciemnieją z nędzy i braku witamin i wyglądają jak upiory². Po-

¹ KCNA – Północnokoreańska Agencja Informacyjna działająca nieprzerwanie już ponad sześćdziesiąt lat.

² W czasie tzw. wielkiego głodu (1995–1997) zmarło od 1,5 do 2,5 mln mieszkańców Korei Północnej.

trzebny im jeszcze napój opalający! Świat, w który wysyłamy takie komunikaty, musi mieć o nas niezłe wyobrażenie. Sprawiamy pewno wrażenie bandy półgłówków, skoro produkujemy takie newsy. – Rozważania pułkownika były ze wszech miar nieprawomyślne i on sam zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Nie oznaczało to, że Gim Ilson, jeden z najważniejszych ludzi w projekcie, był – zgodnie z kryteriami przyjętymi w systemie – nielojalny. Myśli to jedno, a lojalność to drugie. Na szczęście nasi genialni uczeni nie wynaleźli jeszcze metody pozwalającej na skanowanie umysłów i do tego, co kto sobie myślał, można było, na razie, dobrać się jedynie tradycyjnymi, sprawdzonymi metodami: torturami, wielodniowymi przesłuchaniami, szantażem i chemikaliami obrabiającymi system nerwowy. Akurat tego nikt nie śmiałby przesłuchiwać, chyba że na specjalne polecenie najwyższych władz. W społeczeństwie podzielonym według stopnia lojalności wobec reżimu był bowiem szczęśliwym posiadaczem najwyższego certyfikatu prawomyślności, a szczęście to dzielił z grupą starannie wyselekcjonowanych funkcjonariuszy, których klasyfikowano jako „lojalnych”³. Dawało to szczególne przywileje. System, choć miał sprawczą siłę społeczną o wiele większą niż hinduski podział warnowo-kastowy, był z założenia absurdalny, czym nie różnił się od pozostałych obowiązujących tu systemów. O tym, w której spośród pięćdziesięciu jeden przegródek kto się znalazł, decydowała pozycja wyjściowa. W tym jednym przypominał deterministyczny hinduski podział na dziati⁴. Jeśli więc ktoś miał nieszczyście

³ O podziale społeczeństwa północnokoreańskiego – patrz: Informacje dodatkowe.

⁴ W hinduskim systemie warnowo-kastowym prócz zasadniczego podziału na cztery warny, czyli klasy społeczne, istnieje bardziej szczegółowy podział na dziati, związany z urodzeniem w określonej rodzinie i przypisanymi warnom „specjalizacjami” zawodowymi.

urodzić się w rodzinie skażonej niełojalnością, w zasadzie przesądzało to o jego zaszeregowaniu.

Zmiana klasyfikacji, jeśli w ogóle była do pomyślenia, mogła w zasadzie oznaczać tylko zdegradowanie. Jednak Gim Ilson, posiadacz najwyższego certyfikatu lojalności i tym samym politycznej przydatności, był wyjątkiem potwierdzającym regułę. Po pierwsze, był mieszaninem (jego ojcem – o zgrozo – był Amerykanin). Po drugie, przebywał kilka lat poza granicami kraju.

Historię własnego poczęcia kazano mu opisać ze szczegółami, kiedy wstępował do partii. Znał ją od matki i zapamiętał tak, jak mu ją przekazała, kiedy skończył osiem lat. Wkrótce potem zmarła. W ankiecie najzupełniej świadomie pozwolił sobie na istotne konfabulacje i napisał, że jest owocem wojennego gwałtu. Brzmiało to zdecydowanie lepiej niż wersja mamy. Jej opowieść, pełna tajemniczego wojennego romantyzmu i niepojętej magii uczuć rodzących się w jednej chwili nie wiadomo za jaką sprawą, nie nadawała się do partyjnej ankiety. W rzeczywistości, gdy na początku października 1952 roku koreańsko-chińskie oddziały szturmowe ruszyły do desperackiego natarcia, przełamując zaskoczoną obronę amerykańską w wielu miejscach frontu, równie szybko i sprawnie odpowiedział generał Van Fleet, który – nie zważając na duże straty – kontratakował wielkimi siłami i odzyskał utracone pozycje⁵. Nam-Kyoung Lee, walcząca w szeregach kobiecych oddziałów Koreańskiej Armii Ludowej, na całą dobę uwięziona została w leju po ćwierćtonowej bombie lotniczej wraz z amerykańskim marines. Ściślej, wpadła tam rzucona bliskim podmuchem eksplozji móżdżerzowego granatu i straciła przytomność. Gdy ją odzyskała i otworzyła spieczoną gorącą falą powietrza powieki, zobaczyła nachyloną nad sobą sympatyczną twarz jasnowłosego chłopca

⁵ W ramach operacji Showdown.

w amerykańskim mundurze. Leżała na jego kolanach. Matka nie opowiadała ze szczegółami, co stało się dalej. Powiedziała tylko, że sama nie wie, jak to możliwe, że w jednej chwili zakochała się we wrogu. Z rozmarzonego wyrazu jej twarzy mały Gim wywnioskował jednak, że wspomina ów lej i to, co w nim zaszło, z ogromną przyjemnością. Kiedy teraz o tym myślał, nie dziwił się Amerykaninowi. Młoda Koreanka ze swoją niepowtarzalną, subtelną urodą i wspaniałą figurą nawet w upapranym gliną drelichu i z włosami związanymi w przepocony węzeł musiała być w ów szczególnie październikowy wieczór wyjątkowo godna pożądania. Po dwóch dniach i nocach, podczas których ze względu na silny ostrzał nie udało im się opuścić leja, przyszło wyzwolenie. Pojawiły się kolejne oddziały Van Fleeta, a Nam-Kyoung na kilka miesięcy trafiła do obozu jenieckiego po południowej stronie frontu. Tam nauczyła się mówić nieźle po angielsku, ale nawet odwiedzający ją regularnie, wówczas już porucznik, Herbert Dudinsky nie zdołał jej nakłonić, by pozostała na Południu. Z pięknie zaokrąglonym brzuszkiem, podczas najbliższej wymiany jeńców, pomaszerowała dzielnie na północ, a tam ów brzusek najprawdopodobniej uratował jej życie, bo kraj potrzebował przyszłych nowych żołnierzy. Gdyby nie zaawansowana ciąża, nie cackano by się z nią, podobnie jak nie cackano się z tysiącami powracających z amerykańskiej niewoli jeńców, którym w ramach rekompensaty za trudy obozów wypłacano kulkę w łeb. Nam-Kyoung darowano winy, a ponieważ mówiła po angielsku, po urodzeniu Gima znalazła zatrudnienie jako tłumaczka asystująca przy przesłuchaniach. Ze swą zjawiskową urodą szybko wpadła w oko jednemu z wyższych oficerów kontrwywiadu, niejakiemu Ilsonowi. Została jego kochanką, ale ulegając jej urokowi i przymiotom duszy, prędko podniósł ją do godności małżonki, decydując się na adopcję chłopca. On także znał jedynie oficjalną wersję Gimowego